

Wejście smoka pociągiem, czyli Tusk wraca do Warszawy

20 kwietnia 2017

Polityka i historia uwielbiają wielkie wejścia. Triumfalne wkraczanie do miast i wsi dawno temu już okazało się użytecznym narzędziem w kreowaniu wizerunku osób ważnych. No a dzisiaj Tusk wrócił na moment do Warszawy. Balonik pękł.

Rolę pochodów i przemarszów doceniano zapewne od zawsze. Moje pierwsze skojarzenie to jednak defilady rzymskie pod łukami triumfalnymi, wkroczenie Jezusa do Jerozolimy (wedle tradycji w mniej widowiskowy sposób, na osiołku) i w końcu przybycie Lenina do Piotrogradu (i niedługo potem ogłoszenie też kwietniowych). Czy oszalałbym, porównując te sytuacje do dzisiejszego przyjazdu Donalda Tuska?

I tak i nie. Analogia jest tu dosyć prosta: przewodniczący Rady Europejskiej wraca do Warszawy, a to sprzyja manifestacji poparcia dla niego. To wygodna sytuacja, bo były premier i tak przyjechał na przesłuchanie do stołecznej prokuratury, gdzie miał zeznawać jako świadek w sprawie Służby Kontrwywiadu Wojskowego. Przy okazji nadarzyła się więc szansa by pokazać, że ktoś za Tuskiem w kraju tęskni i ktoś jego politykę (polską albo europejską) popiera. Bezsensowne jest jednak przypisywanie temu zdarzeniu jakiegokolwiek większej wagi.

Być może powinienem zacytować przy tej okazji jakiegoś wielkiego myśliciela, ale przychodzi mi do głowy jedynie rymowanka dla dzieci: „Balon urósł że aż strach, przebrał miarę – no i bach!”. Takie są moje odczucia, bo nastał jeden z tych momentów, w których nasze społeczeństwo nadało ważny charakter wydarzeniu, które w zasadzie nie ma znaczenia. Kiedy tylko pojawiła się informacja, że Donald Tusk ma stawić się na przesłuchanie w kraju nad Wisłą, balonik zaczął powoli rosnąć. Pojawiła się koncepcja wielkiej ceremonii powitalnej, zaczęto

„grupować się” pod odpowiednimi hashtagami, do akcji zachęcały znane twarze (np. aktorka Krystyna Janda). Media rzuciły się na ten łakomy kąsek, bo okazało się, że sprawa może ludzi zelektryzować (zwłaszcza, jeśli owe media dorzucą swoje trzy grosze).

To faktycznie się poniekąd stało. Kiedy o 10:40 na Dworzec Centralny wjechał w końcu odpowiedni pociąg, na miejscu czekała już manifestacja poparcia i kontrmanifestacja, a gdzieś pomiędzy nimi krążyli, niczym wolne elektrony, dziennikarze. Zwolennicy Tuska pojawili się z groteskowo wyglądającymi czerwonymi kartkami na których widniał wizerunek byłego premiera – to był piękny prezent dla drugiej strony, która dużo łatwiej mogła zarzucić ważnemu pasażerowi bycie „komuchem” i „zdrajcą”. Zresztą i bez tego akcentu pojawił się transparent z Donaldem Tuskiem w więziennym pasiaku.

Potem już został tylko przejazd pod prokuraturę, ostatnie wiwaty na cześć przesłuchiwanego i... koniec. Tyle. Polityk zniknął w budynku przy Nowowiejskiej, a niebawem opuści znowu kraj i powróci do swoich obowiązków. Na szczęście nie podzielił ani losu Jana Pawła II, ani Kennedy’ego, ani Franciszka Ferdynanda, nie został postrzelony (czego nie życzę nikomu), nie będzie 100 dni Tuska na miarę 100 dni Napoleona ani niczego podobnego.

Ludzie po prostu lubią powroty i nagłe nadejścia, swoiste zwroty akcji nadające kolorytu życiu społecznemu. To dobra okazja, by wykrzyczeć swoje racje i to, co nas boli i uwiera. Czasami ten najważniejszy podróżnik nie musi być nawet żywy – trumna ze szczątkami martwego wieszczą to też dobry przyczynek do zebrania tłumu ludzi.

Ci obywatele, którzy udali się dziś na Dworzec Centralny w Warszawie z jakiegoś powodu uznali przyjazd Donalda Tuska za ważny dla siebie. Jestem w stanie to zrozumieć, zresztą to w zasadzie nie moja sprawa. Męczące wydaje mi się jednak nakręcanie wokół naszej rodzimej sceny politycznej wiecznej

atmosfery doniosłości, niezwykłości, przełomowości. Nie zapowiada się przecież na wybuch jakiegoś powstania, jak po przyjeździe Paderewskiego do Poznania w 1918 roku. Oczywiście ja także jestem nieco hipokrytą, bo sam wziąłem dzisiejszą sprawę na tapetę i dołożyłem własną cegiełkę do historii o wielkim, triumfalnym powrocie Donalda Tuska do stolicy, w glorii i chwale.

Prawda jest jednak taka, że za kilka dni zapomnimy o tych wydarzeniach, bo to żadne zwycięstwo czy porażka Przewodniczącego RE, a zwykła, wymuszona wizyta w kraju. O której z opisanych wyżej powodów wszyscy mówią, piszą i poświęcają jej mniejszą i większą uwagę. Ale jej ulotny charakter w świadomości społecznej się już nie zmieni, niezależnie od tego, czy się byłego premiera lubi czy nie. Dlatego polecam przy tej okazji zdrowy tryb życia: pozostać osobą świadomą i interesować się tego typu sprawami, ale jednocześnie się nimi nie emocjonować. To dobrze działa na układ nerwowy.

I na koniec jeszcze mała uwaga: faktycznie są ludzie, którzy zapamiętają podróż Tuska na dłużej. To współpasażerowie z pociągu, którzy musieli się przepychać przez komitet powitalny oraz sokiści, którzy mieli strasznie ciężki dzień w pracy.

Autorstwo: Paweł Czechowski

Źródło: Histmag.org

Licencja: [CC By-SA 3.0](https://creativecommons.org/licenses/by-sa/3.0/)